PRZYPADKI
SZTUKI TEATRALNÉJ.
(Powieść humorystyczna, przerobiona z Langera).

I. Expozycya.

W miłym chłodzie woniejącéj lipy, w ulubioném swém miejscu, siedział Maurycy, bogaty dziedzic, patrząc przed siebie w głębokiém zadumaniu, niekiedy puszczając kłęby dymu z długiego cybucha. Na stole pod drzewem stały kałamarz, piaseczniczka z bronzu i kilka arkuszy papieru, we *fracta pagina* zgiętych; pogryzione pióro w prawéj ręce trzymając, spoglądał w zamyśleniu to na cieniste krzaki, to na jasne niebo, które się nad nim rozprzestrzeniało; zdawało się, iż podsłuchiwa, co liście szeptają z sobą, lub o czém rozprawiają świégocące ptaszęta; potém znowu szybko kilka wiérszy pisał, jakgdyby rozumiał mowę piérzystych śpiéwaków, jak Simurg, przyjaciel mądrego Salomona.

W tém z ciemnego lasku, dokąd nigdy nie dochodził promień ciékawego słońca, zabrzmiał tęskny śpiéw samotnego słowika; do głębi duszy wzruszony, położył pióro, mimowolnie fajka zgasła wypadła mu z dłoni, i długo z zachwyceniem słuchał lirycznych żalów śpiéwaka lasu.

II. Sztuka.

W przedpokoju antreprenera teatru siedział Maurycy, to przewracając kartki poszytu, który trzymał w ręku, to znowu oglądając z ziéwaniem obrazy porozwieszane na ścianach, przedstawiające sławne śpiéwaczki i tancerki. Musiał już długo tak siédzieć, gdyż niespokojnie przesuwał się na krześle, i niekiedy zdawało się, że chce wstać i odejść; lecz za najmniejszym szmerem w przyległym pokoju zawsze ciérpliwie siadał, mając wzrok wlepiony w fatalne drzwi które się jeszcze nie otwiérały.

Oprócz niego stała jeszcze w oknie donkiszocka postać człowieka, tak długa i tak wązka, że trzeba się było obawiać, aby ciąg powiétrza nie wysadził jéj za okno. — Nareszcie wyszedł brzuchaty kamerdyner z gabinetu antreprenera. — Oto, mości Igiełko, rzekł do krawca teatralnego, bo takie było powołanie drugiego gościa, — oto jest spis kostiumów do nowéj opery: 20 grenlandzkich, 40 tureckich, 50 australskich i 25 mexykańskich kostiumów, do tego lwy, słonie, grzechotniki, wielbłądy i żebry; rzecz sztuki dzieje się we wszystkich częściach świata. Przyjm acan 50 czeladzi; za tydzień najdaléj sztuka będzie graną.

Obelisk jak strzała wyleciał z pokoju. — Pragnąłbym mówić z panem antreprenerem, rzekł Maurycy, przed którym *factotum* stanęło z pytającą miną.

Z uczuciem duszy, która staje przed tronem surowego Minosa, Maurycy ukazał się obliczu antreprenera. Grzeczny plenipotent *Talii* ofiarował mu miejsce na sofie: — Cieszy mnie mocno rzekł, że zabieram z nim osobistą znajomość. Słyszałem, że pan poświęcasz wolne chwile muzom; czytałem wiele pięknych rzeczy pańskich; tém przyjemniéj mi jest, że chcesz swe pióro poświęcić teatrowi. Tacy to ludzie są błogosławieństwem nieba, gdyż używają tylko swych wesołych chwil dla literatury, i idą za głosem muzy, a nie żołądka; ich prace, w których się wyraża wolna dusza, nieprzytłoczony umysł, wesoły humor, zawsze są na wyższéj stopie, niż fabryczne ramoty rzemiosłowych paniczów. Ciekawym, coś nam pan przyniosł.

Maurycy podał mu rękopism, — „*Zenobia?*" — hm! — tragedya — hm, hm! — z chórami — hm, hm, hm! — mruczał antreprener, przerzucając papiery, i pociérając czoło z niejakiém pomięszaniem. — Sześć osób — łaskawco, łaskawco! — dekoracye: przysionek pałacu — i nic więcéj? — a to wbrew wszelkim prawidłom!....

— Wbrew prawidłom! przerwał żywo autor — przeciwnie; Arystoteles przepisuje; *Jedność miejsca*.... — Co tam Arystoteles! dajże mi pan pokój z tym nudnym poganinem! — Wtenczas Grecy darmo chodzili do Areny, ale my chcemy, aby widzowie płacili, a ku temu potrze-

ba koniecznie malarzy i krawców. *Zenobia!* to jeszcze uchodzi, ale gdzie azyatycki przepych, gdzie jazda frygijska? Szturm na morzu, palące się miasto, toby było nieźle! — trzeba nam koniecznie przedmiotu do statystów, bez statystów ani rusz! — publiczność ceni teraz sztukę, podług długości afisza, panie!... — I czegoż pan chcesz właściwie? zapytał poeta trochę zniechęcony. — Czego chcę? — Proszę czytać; oto własnie dziennik francuzki donosi o ogromnym skutku nowéj sztuki: „*Słoń i Paź*,” — w któréj słoń osobiście występuje, ratuje dziecię rozpaczającéj matce, wyrywa z korzeniem drzewa, stawia most nad strumieniem, przenosi przezeń dziecię, i składa je na łono drżącéj matki!.... Do pioruna! takie bydle jest nieocenione! — proszę, jaki sprawia efekt, za kilka funtów siana i flaszkę wódki!.. — Bezecnie! zawołał Maurycy rozgniéwany, i podskoczył z krzesła; jestto poniżać sztukę! — Mój łaskawco, masz wielką słuszność jako przyjaciel sztuki, ale ja, jako antreprener! — moja kassa jest moją sztuką, rozumiesz mnie pan. Przytoczę panu przykład. Córka moja, która jest także podobną exaltantką, zadeklamowała mi niedawno prześlicznie na moje imieniny monolog Szyllera; nie powinienbym chwalić, bo to jest moja córka, ale byłem do łez wzruszony, i w zachwyceniu zawołałem: „Proś mnie o coś, Andziulku; jeżeli tylko mogę, to ci pewno uczynię!” — Byłem pewny, że zwyczajnie jak to dziéwczyna, prosić mnie będzie o nowy szalik lub nowy kapelusz, ale gdzie tam! — ona żądała wystawienia *Cyda*. Musiałem dotrzymać słowa; całe miasto mówiło o tém klassyczném dziele, pisma wynosiły mnie pod obłoki; nadszedł dzień reprezentacyi; mała garstka przyjacioł sztuki przesunęła się przez puste kurytarze, nawet nie wszystkie frejbilety weszły, a skutkiem była — w kassie 151 zł. 20 gr. — Otóż to, proszę pana!.... straszna melodrama i wesołe *Co kto lubi* musiały naprawić ten wyłom kassowy. — Co się tyczy mojéj sztuki, rzekł Maurycy, jestto przecież nowość, mam wielu przyjaciół, którzy ciekawi są ją widzieć; zrzekam się nadto wszelkiego *honorarium*.... — Są to w rzeczy samej ważne powody, rzekł antrepre-

ner, i pomyślę o wystawieniu; skoro nowa drama kryminalna, którą dziś 30ty raz dajemy, nie będzie już napełniała teatru, sprobujemy „z *Zenobią*."

* * *

W tydzień potém, Adolf, przyjaciel naszego autora, leżał na swéj sofie, szukając w kilku dziennikach najzabawniejszych rzeczy, tak jak pieszczony żarłok wybiéra tylko z karty potraw to, co najbardziéj łechce podniebienie; gdy w tém bez tchu Maurycy wpadł do pokoju, przerywając przyjacielowi literackie badania. — Co ci to, na miłość boską? zapytał Adolf; wszakże się krzywisz, jak niegdyś podobno *Rea*, kiedy jéj boski *Saturn* dzieci pozjadał! — Uf!.... umiéram!.... to okropnie!.... niesłychanie, powiadam ci!.... niegodziwie!.... wołał Maurycy, mierząc pokój ogromnemi krokami. — Uspokójże się! nałóż sobie fajkę.... — Przychodzę z teatru.... umiéram z gniéwu!.... — Tam do licha! poeta umiéra z gniéwu, że się jego drama niepodobała! Jeżeli się Wiktor Hugo o tém dowié, gotów to, upstrzywszy modnemi okrucieństwami, na scenę wyprowadzić!.... — Przychodzę z próby, mówił daléj poeta; od czegoż mam zacząć, na czém skończyć, aby ci opisać wszystkie moje udręczenia!.... Wystaw sobie, panowie artyści siedzą i stoją oto w najrozmaitszych gruppach, a zamiast się obznajamiać z tokiem rzeczy, z duchem swych rol, żaden z nich nie zważa, rozprawiają o plotkach, złorzeczą recenzentom, aktorki opowiadają o swych wielbicielach, i może nawet nie wiedzą, czy w tragedyi, czy w komedyi mają wystąpić, bohater ma chrypkę, nie można i słowa zrozumiéć; piérwsza amantka dopiéro z rana wróciła z balu do domu, była rozespana i drzymała podczas całéj próby, tak, że musiano ją budzić do każdéj sceny, do któréj wchodzi. Następnie opowiada wszystkim, że jako *Zenobia* myśli wszystkich zachwycić, gdyż będzie ją grała w przybyłéj dopiéro z Paryża szemizetce *à la belle Anglaise*! Nieba! *Zenobia*, ta królewska amazonka, która sama dowodziła swemi hufcami przeciw Królowi Perskiemu, w szemizetce z Paryża!.... Przedstawiam jéj to; śmieję się; wołam reżyssera, a ten z flegmą powiada mi: „Zapewniam go, że

pani ma gust. Opowiadam to antreprenerowi; ten wzrusza ramionami i częstuje mnie tabaką. Monolog w piérwszym akcie szczególniéj mi się udał, pisałem go był z zapałem, i spodziewałem się, że zupełny sprawi efekt; słuchałem, jak go téż aktor zrozumié, lecz akt się skończył, a o monologu ani dudu! Pytam reżyssera; ten znowu wzrusza ramionami, i grzecznie powiada: „Mocno żałuję; musiałem monolog wykreślić; był za długi; pan *Krzykata* jest dzielnym artystą, ale unikać z nim trzeba wszelkich długich tyrad, bo nie lubi się uczyć!" — Słyszałem frazesy pełne niesłychanych niedorzeczności, o których ani mi się śniło, a które umieszczono, jakoniby bardzo efektowe, zmieniono mi koniec jednego aktu, i włożono, ni ztąd ni zowąd wjazd tryumfalny. Gdy *Zenobia*, parta przez Aureliana, chroni się do Palmiry, musi, z oczywistém narażeniem na dostanie się w niewolę Rzymian, czekać pod bramami miasta, aby baletmistrz mógł się popisać ze swojém *pas de quatre*, o którém ani pomyślałem! — To bezecnie!....

Wycieńczony długą listą swoich autorskich cierpień, rzucił się na sofę, i przysiągł, że nigdy już nie wsiądzie na grzbiet Pegaza w służbie Melpomeny. Adolf zaledwo zdołał go uspokoić.

Dzień przedstawienia zbliżał się, i wszędzie już o tém mówiono. Po bezsennéj nocy zaświtał dla poety dzień równie upragniony jak straszny. Jak najraniéj antreprener przysłał do niego z zapytaniem, ile chce dla siebie biletów. Adolf nalegał nań, aby korzystał z tego, gdyż nawet największe gwiazdy horyzontu teatralnego nie gardzą *na wszelki przypadek* oddziałem klaskaczy. Lecz nasz poeta, ufając sobie i swojéj muzie, zbyt jest dumny, aby tym sposobem drapać się na szczyt sławy dramatycznéj, i odrzuca wszelkie bilety. Przed południem przebiega ulice, i z niemałém ukontentowaniem czyta swe imię gotyckiém pismem na afiszach, poprzylepianych na wszystkich rogach; nieznany, słucha oświadczeń czytających, że chcą pójść na tę sztukę, i że spodziéwają się czegoś dobrego, na obiedzie znajduje się w najpiérwszéj restauracyi; tu znają go, i sze-

ptają sobie w uszy, zwracając na niego ciékawe spojrzenia. Po południu idzie do kawiarni. Przedmiotem rozmów jest naturalnie *Zenobia*. Jego próżność doznała dotkliwego ciosu. Jeden z gości nie spodziéwa się nic wielkiego; mniéma, że smak wielki uczynił postęp, i żąda, tak jak w restauracyi coraz dłuższego jadłospisu, tak téż na afiszu coraz więcéj osób. Sztuka z pięciu lub sześciu osobami koniecznie musi być nudną i nic potém. Drugi się odezwał, że tańce naprawią przewinienia sztuki, gdyż panna *Hopsasińska* z panem *Wiatrokręckim* wykonają nowe pas de deux. Trzeci utrzymuje, że słyszał o jednéj partyi, która chce sztukę wysykać.

(*Dokończenie nastąpi.*)

MALIBRAN.

Szkic biograficzny.

przez J. Mainzer.

Jeśli rozważymy na wstępie do zawodu życie prawie każdego z wielkich artystów, przekonamy się o prawdzie téj smutnéj uwagi, że cierpienie zawsze towarzyszyło ich pierwszym krokom; cierpienie z bardziéj rozdzierającemi męczarniami, niżeli wolno nam je malować; gdyż natura, tworząc artystę do cierpienia, zamiast uzbroić go przeciw boleści, przeciwnie przez fatalne jakoweś pierwszeństwo obdarzyła ulubieńców swoich czułością, drażliwą na najlżejsze ciosy, i utrzymującą ranę nigdy niezagojoną.

Niekiedy nędza staje za każdym krokiem przed rozpoczynającym, jak nieprzebyta zapora; przytłumia zapał jeniuszu, przygasza ogień święty w jego duszy, napełniając ją zlodowaciałém zimnem zniechęcenia, i gwałtownem następstwem skutków swoich, zabija go równie fizycznie jak i moralnie.

Niekiedy zatrzymany śród drogi ślepém ciemięstwem tych, coby powinni przeciwnie kierować i ułatwiać bieg jego, artysta, któremu powołanie sił dodaje do walki,

widzi się zmuszonym większą część tych sił wypotrzebować na przezwyciężanie i kruszenie przeszkód; a właśnie w chwili, gdy wszelkie zapory usuwać się przed nim zaczynają, czuje, że wyniszczył w sobie ową energię, ów zapał, ową poezyę złudzeń, które winien był zachować dla saméj tylko sztuki, czuje, iż znękany usiłowaniami aby oderwać swe nogi od ziemi, pozostaje mu tylko poglądać okiem zroszoném łzami żalu i rozpaczy, w to niebo, do którego wznieść mu się nie dozwolono.

O jednę z tych dwóch skał rozbijają się prawie zawsze siły młodego artysty; Pani Malibran zostawioném było wykryć nam trzecią, straszliwszą jeszcze, i wyjść zwycięzko z walki, w któréj może jéj tylko jednéj było dozwolono nie upaść. Artystyczne jéj powołanie nie potrzebowało przezwyciężać zawad, umyślnie na wstrzymanie jéj wzniesionych; nie, musiała przeciwnie walczyć, aby nie zostać zniszczoną gwałtownością sposobów, użytych na rozwinięcie i przyśpieszenie jéj talentu.

Jakkolwiek wielka namiętność zapala nas do jakowéj pracy, jeśli nie możemy się jéj oddawać tylko w skutek rozkazu, jeśli nam wzbraniają odpoczynku gdy czujemy jego potrzebę, jeśli błąd, którego i tak staralibyśmy się nadal unikać, srogą ściąga za sobą karę, praca stanie się wówczas niezawodnie dla nas męczarnią, a w sercu naszém powstanie wstręt do sztuki, co niegdyś wszystkich naszych życzeń była celem. Nie zjściło się to jednak na pani Malibran, gdyż jéj dusza wyższą obdarzona była mocą; wyszła promieniejąca chwałą z próby, w któréj każdy inny uledzby musiał koniecznie. Rzadka ta kobiéta, wyłączną obdarzona naturą, takowy miała pociąg do pokonania wszystkiego, iż śmiała ujeżdżaczka, nie raz w awanturniczych swoich wycieczkach przekładała najdziksze i najbardziéj nieoswojone rumaki.

Marya-Felicya Garcia, zaczęła roku 1808, swe życie niepokoju i cierpień. Była córką Hiszpana, Manuela Garcia, pierwszego tenora przy teatrze Cesarzowéj w Paryżu. Człowiek ten gwałtowny i okrutny przez

długi czas jak najgorzéj z nią się obchodził, chcąc, jak mówił, wypolerować djament, który w córce swojéj postrzegał. Bita, aby jak najprędzéj rozwinęła swe zdolności, nie przestała jednak uwielbiać sztukę, którą powinna była znienawidzić, i tak daleko doszła, że późniéj znikim porównaną być nie mogła.

Marya grała początkowo komedye; zaledwie miała lat ośm, gdy występowała w Neapolu, w sztuce *i Fiorentini.* R. 1820, w dwunastym roku życia, zaczęła w Anglii śpiewać opery; pierwszy tam tryumf odniosła w roli *Felicyi*, w *Krzyżaku* Meyerbeera. Pomimo tak świetnego powodzenia, biédna dziecina nie lepiéj była traktowaną w domu ojcowskim; nawet gdy się udała z nieubłaganym Garcią do Nowego-Yorku, temuż samemu uległą musiała być okrucieństwu. Srogi ów władca wyrzekł się nakoniec swojéj powagi przez ostatni czyn barbarzyństwa, rzucając swą córkę w ręce człowieka, ku któremu najmniejszéj nie czuła miłości, a który ją skrępował łańcuchem fałszywą powleczonym pozłotą. Pan Malibran wkrótce po ożenieniu zbankrutował i osadzony został w więzieniu.

Uwolniona z pod władzy mężowskiéj, nie lękając się już ojcowskiego okrucieństwa, odetchnęła, pani Malibran; własnéj tylko zostawiona pomocy, wróciła do rozpoczętego zawodu, i nieustannie trawiona głęboką namiętnością dla sztuki, postępowała teraz z tryumfów do tryumfów. Wróciwszy do Europy udała się do Paryża, i tam pierwszy raz wykryła zdziwionym oczom świetny ów talent, który, niestety! przez lat ośm tylko miał jeszcze błyszczéć. Francya, Anglia, Włochy składały jéj kolejno hołdy pochwał i wieńców; wszędzie ukazała się bez porównania, szczytną tragiczką, szczytną śpiewaczką, i niemniéj szczytną i zachwycającą w komedyi, naiwna i czysta *Desdemona*, ognisty i szlachetny *Tankred*, złośliwa *Rozyna*, śmieszna *Fidalma*, była do nienaśladowania pod temi wszystkiemi maskami tak odmiennéj fizyonomii, przejmująca strachem swoje współzawodnice przy samém rozpoczęciu zawodu, żartem im niby wydziérała zarówno palmę muzykalną, jak i palmę dramatyczną; ni e uka

zując się nigdy niższą od siebie w żadnéj z ról przez siebie utworzonych, zawsze doskonała, bądź ukazując się jako królowa lub służebna, matka lub córka, córa zimnych Niemiec lub ognista Wenecyanka; pod kaskiem, czepkiem lub djademem była to zawsze Malibran, wzór delikatności zarówno jak wielkości i majestatu, ideał wdzięków ze szlachetnością złączonych.

Lecz widząc ją jak przyśpieszała swoje tryumfy, łatwo wnieść można było iż przeczuwała krótkość swego życia, i jak przemijające zjawisko pragnęła jak najżywszym zaświétnieć blaskiém. Nieraz, w tymże samym dniu zdarzyło jéj się znajdować na koncercie porannym, być potém obecną na próbach, śpiewać dwie opery wieczorem, a po widowisku jeszcze stawać się ozdobą muzykalnego wieczoru. Zadziwiająca ta czynność utrudzała jéj ciało, nie zmniejszając mocy jéj głosu i najmniejszego nie mając wpływu na jéj talent. Tak upływało jéj życie: śpiéwała z rana, śpiéwała wieczór; śpiéw był jéj miłością, jéj modlitwą; był echem jéj rozkoszy, echem jéj cierpień, zarówno jak ich źródłem. Śpiéw jéj zjednał sławę; jemu winna była swe wieńce i śmierć swoją; trzeba jéj było śpiéwać lub umrzeć; musiała więc umrzeć śpiéwając.

Tak jest, miała przeczucie swojego krótkiego pobytu na ziemi, gdyż w owéj epoce, gdy cieszyła się zarówno swobodą, będącą jedynym celem żądz artysty, i sławą, którą on marzy jako najsłodszą prac swoich nagrodę; wówczas, gdy okryta wieńcami, otoczona miłością i podziwieniem, powinna była wygładzić ze swéj duszy wspomnienia udręczonego dziécińśtwa i całą zapełnić lubemi wrażeniami; wtedy nawet, prócz chwil uniesienia, szczęście nie malowało się w jéj rysach! Pewien angielski pisarz powiada, że jakowaś tęsknota rozlana była w jéj spojrzeniu; pogrążona w marzeniach i nadziemskiém uniesieniu, przez długie godziny pozostawała nieruchomą; rzekłbyś, że to był posąg Pigmaliona nim zstąpił ze swojéj podstawy.

Może dla pozbycia się tego osłupienia, i obudzenia w sobie żywotnego ducha, widziano ją nie raz dosiadającą niepochamowanego rumaka i z rozkoszą wysta-

wiającą się na niebezpieczeństwo, jako jedynie zdolne wrócić jéj siły i energię.

Wychowana w cierpieniu, pani Malibran posiadała serce, którego czułość nie ustępowała bynajmniéj wzniosłości jéj talentu; dobrodziejstwa jéj uprzedzały często nieszczęśliwych, a zawsze bez wystawności. Artystka, umiała oszczędzać pychę artystowską. Dawać temu, który potrzebuje, pospolitą jest cnotą; lecz uczynić tak, aby biedny więzień, znalazł przebudzając się pod poduszką, summę potrzebną na swe uwolnienie, i nie domyślał się ręki, która ją tam złożyła, oto prawdziwa wspaniałość, oto dobroczyność jak ją pojmowała pani Malibran.

Lecz los, zazdrośny wszystkiego co jest piękném, wszystkiego co może pokrzepić ufność w życiu, użyczając nam owéj kobiéty którą trzeba było kochać i uwielbiać, zdawał się bliski kres przeznaczać jéj istnieniu, okropna godzina wkrótce też wybiła. Pozostała tylko po niéj pamięć w sercach; lecz imię jéj żyć będzie jako nauka, jako bodziec dla artystów, jako cel którego będą usiłowali dopiąć. Unieśmiertelnić swe imie! jest to piękną i wielką nagrodą, gdyby nieszczęściem prawie zawsze wzbronioném nie było artyście otrzymać ją dopiero w chwili, w któréj już korzystać z niéj nie może!

W Anglii zgasła pani Malibran; w Anglii także zakończył życie Weber, Weber, który podobnież jak ona nie dbał o siły swoje fizyczne, gdy miał jakową przeszkodę do przezwyciężenia, Weber który po całych dniach pracował nad swoim *Oberonem*, a w nocy uczył się po angielsku. Już był cierpiący wyjeżdżając z Drezna; a przyjaciele, wiedząc jak miał osłabione piersi, lękali się aby mu bardziéj nie zaszkodziło Londyńskie powietrze, starali się go więc odwieść od téj podróży; lecz on odpowiedział im tylko temi słowy, które smutne położenie artystów, w przysłowie zamieniło w Niemczech: *Die kunst geht nach brod.*

Popchnięty był ową żądzą co owad wpędza na płomień, w którym ma spłonąć, ową żądzą ognistą, nieznaną, fatalną, co omamia, zaślepia najułudniejszemi

obrazy, czarodziejskiemi barwy, co obiecuje dyamentowe i złote pałace.... Drzwi ich otwierają się wprawdzie, lecz zamykają natychmiast aby się więcéj nie otworzyły! Cztery deski, oto pałac żądz twoich; zakąt w wilgotnéj ziemi, oto *Alhambra* twéj wyobraźni!

Pociągniony nieprzezwyciężoną siłą téj tajemniczéj żądzy, pojechał Weber i nie wrócił więcéj; poszedł *szukać chleba*, znalazł sławę — a w objęciach sławy śmierć. Pewnego wieczora, przeżywszy najświetniejszą chwilę w swém życiu, wrócił do domu.... i nie wyszedł z niego tylko już na pogrzebnym wozie.

Podobnież uczyniła Malibran; opuściła Francyą, porzuciła Belgią drugą swoją ojczyznę, śpiesząc po za lądem stałym przytłumić głos swój boski i ów wieszczy ogień, co zdawało się, że powinien być wiecznym. I ona także zaczarowanych szukała pałaców, myśli swych marzeń i śpiewów: znalazła je w grobie. Śpi w nim okryta sławą, przywalona wieńcami; ale niemniéj dla tego śpi snem nieznającym przebudzenia.

O TEATRZE
POD WZGLĘDEM MORALNOŚCI.

(*Dokończenie.*)

Ale nie dosyć, że scena daje nam poznać koleje ludzkie, uczy nas także być sprawiedliwszemi dla nieszczęśliwego i łagodniéj go sądzić. Wtenczas tylko, kiedy głębokość udręczeń jego zmierzymy, możemy dać o nim wyrok. Nie masz haniebniejszego występku jak kradzież, ale czyliż z wyrokiem potępienia nie połączymy łzy litości, kiedy się zapuścimy w okropne położenie, w którém *Edward Ruheberg* ten występek popełnia? Brzydzimy się powszechnie samobójstwem, ale kiedy *Marya* przestraszona groźbami ojca, miłością, wyobrażeniem murów klasztornych, truciznę wypija, któż piérwszy odważy się śmiało na nię wydać swój wyrok? Ludzkość, pobłażanie, zaczynają być panującym du-

chem naszego czasu. Jakżeto wielki na to boskie dzieło scena wpływ miała! Czyż to nie ona poznała ludzi z ludźmi i odkryła tajemne sprężyny, według których działają?

Wysoka klassa ludzi więcéj ma przyczyny nad wszystkie inne być wdzięczną dla sceny. Tu tylko słyszą możni to, co rzadko lub nigdy słyszeć im się nie zdarzy, to jest prawdę, tu widzą, czego nigdy nie widzą, człowieka.

Jak wielkie i wielorakie są zasługi sceny co do moralnego ukształcenia, tak równie może się niemi pochlubić ze względu oświecenia rozumu. Tu dopiéro w wyższéj jéj sferze umié ją wyższy rozum dokładnie ocenić.

Scena jest wspólnym kanałem, którym światło lepszéj części ludu przypływa, i ztąd w łagodniejszych promieniach przez cały kraj się rozszerza. Pewniejsze pojęcia, lepsze zasady, czystsze uczucia płyną ztąd przez wszystkie żyły narodu, znika mgła ciemnoty i szkodliwego przesądu, noc ustępuje zwycięskiemu światłu. Z tylu wspaniałych owoców lepszéj sceny, dwa tylko wymienię. Jakże od lat niewielu stała się powszechną tolerancya sekt i wyznań? Zaczém nas *Nathan* żydowski i *Saladyn* saraceńczyk zawstydził, i boską naukę powiedział: że poddanie się bogu nie tak bardzo zawisło od naszego o nim domniemania; nim jeszcze Józef IIgi zwalczył okropną hydrę pobożnéj nienawiści, już Teatr w sercu naszém ludzkość i łagodność zaszczepił, już obrzydłe obrazy wściekłości pogańskich kapłanów nauczyły nas wystrzegać się religijnéj nienawiści; w tém to straszném źwierciedle zmyło chrześcjaństwo swe plamy.

Jeszcze jednę zasługę ma scena, zasługę, którą teraz tém chętniéj przytaczam, ponieważ sądzę, że jéj sprawa z prześladowcami już bez tego wygraną będzie. Co dotąd starałem się okazać, że istotnie na obyczaje i oświatę wpływa, było jeszcze wątpliwe; ale że nad wszystkie wynalazki zbytku, i nad wszystkie zabawy społeczności, piérwszeństwa jest godną, to sami jéj nieprzyjaciele przyznali. Lecz ile w tym widoku korzyści przynosi, to jest ważniejsze, niżeli dotąd mniémano.

Nie może znieść ludzka natura, żebyśmy ciągle na torturach naszych zatrudnień leżeli, ponęty zmysłów nikną razem z zaspokojeniem. Człowiek przesycony użyciem zwiérzęcém, znękany długą pracą, dręczony wiecznym popędem czynności, pragnie lepszéj, wyborniejszéj zabawy, albo puszcza się samopas na szkodliwe roztargnienie, które przyśpiésza upadek jego, które nieznacznie psuje spokojność społeczną. Uciéchy bachusowe, gorszące gry, tysiączne rozpusty dla próżniactwa otwarte, są nieodzowne, jeżeli rząd nie umié téj skłonności ludu zapobiedz. Urzędnik jest w niebezpieczeństwie, ażeby życia dla kraju poświęconego, splinowi na ofiarę nie oddał; uczony, ażeby się nie stał surowym pedantem, a lud zwiérzęciem. Scena jest instytutem, gdzie zabawa i nauka, spokojność i natężenie umysłu, przepędzenie czasu z oświéceniem się łączy, gdzie żadna władza duszy nie jest wysiloną na szkodę drugiéj, gdzie zabawa nie opłaca się kosztem ogółu. Kiedy smutek serce pożéra, gdy czarny humor zatruwa naszę samotność, kiedy nas świat i troski pętają, kiedy nas tysiączne dręczą przykrości, wtenczas przyjmuje nas scena w tym kunsztownym świecie, prześnimy świat istotny, oddajemy się sami sobie, nasze czucie się budzi, zbawienne uczucia ożywiają uśpioną duszę, i żywszy obieg krwi dają. Nieszczęśliwy z obcemi troskami tu *swoje* przepłacze, szczęśliwy otrzeźwi się, a pewny stanie się bacznym. Niewieściuch uczy się być mężem, dziki i surowy charakter tu po raz piérwszy czuć zaczyna; nakoniec, co za tryumf dla ciebie naturo! tak często deptana, tak często znowu powstająca naturo! gdy ludzie ze wszystkich stanów, stref i granic, zrzuciwszy jarzmo udania i mody, wyrwani z uciśnień losu, jedném wszystko ożywiającém współczuciem pobraceni, w jeden ród znowu związani, o sobie i o świecie zapominając, zbliżają się do swego niebieskiego początku. Każdy w szczególności używa zachwycenia wszystkich, które wzmocnione i upięknione z tysiąca oczu na niego wraca, a piersi jego jedno tylko uczucie zapełnia, to jest: *że jest człowiekiem.*

AFISZE.

(z Monde dramatique.)

O wy, którzy co wieczór idziecie do teatru, aby tam szukać gwałtownych wzruszeń dramatu, lub żywéj wesołości wodwilu, czy zatrzymaliście się kiedykolwiek przed afiszem z inną myślą, jak z tą, aby zobaczyć, jakie będzie dziś widowisko? Czyście kiedykolwiek w tym arkuszu widzieli co innego, jak urzędowy program, który nieproszony przedstawia się waszym oczom? — Nie — a jednakże, czy jest co bardziéj interessownego i bardziéj ożywionego, jak widziéć codzień, na rogu ulic, te afisze, które uśmiéchają się do was i przynęcają do siebie, które odkrywają waszym oczom swe najpowabniejsze wdzięki, zazdrosne odaliski co ubiégają się w zalotności, aby niestały posiadacz obrał sobie którą i rzucił jéj chustkę. Jedna z nich, wielka, dumna pani, poważnie przechodzi koło was, nie racząc się do was uśmiéchnąć; każe wam tylko czytać te magiczne wyrazy; *Kornel*, *Molier*, *Mars*. Druga patrzy na was płowemi oczyma, a dobywając do połowy swój puginał, wskazuje wam palcem tytuł, co dreszczem przejmuje: *Widmo i Sierota!* Jeżeli lubicie rozkosze gnuśnego wschodu, natychmiast, trzecia bajaderka obwija się w swą szarfę, i szepcze wam w ucho imiona *Taglioni i Elsler.* Inna zachęca imieniem panny *Déjazet* i wesołym refrenem, tamta znowu ruladą opery komicznéj.

Zapytaj, proszę cię, autora dramatycznego, co znaczy tytuł jego sztuki, odpowié ci: „Do licha! tytuł!! jeżeli tytuł jest pospolity, znany, zużyty, prosty, to sztuka upada; z tytułem oryginalnym, zagadkowym, ciékawym i nowym, sztuka się podoba! tytuł jest sztuką!"

Pytam was teraz: tytuł, nie jestże to afisz? Afisz zatém jest sztuką!

Z resztą, Paryż jest miastem, gdzie afisz teatralny jest najmniéj interessującym, w téj krainie cywilizacyi i tarcia wszystko się zużywa; równość rozciągnęła swój pokost i do afiszów; jakże chcecie, aby teatr, który się szanuje, rozwijał przepych w afiszach? zdawałoby się, że chce rywalizować z białą musztardą, i z temi instrumentami mechanicznemi, które prześladują nasz wzrok, tak jak aptekarze Moliera prześladowali *Pursoniaka*.

W Paryżu zatém karyera afiszu jest zgubioną; konkurencya go zabiła; lecz na prowincyi jaka różnica! Tam to dobrze być afiszem, i rozwijać się samemu, bez rywala, na murze w promieniach słonecznych, i uśmiéchać się do tłumu, licami pełnemi kłamstwa i przyjemności.

Na prowincyi afisz jest w istocie więcéj, niż widowisko, jest to drama pełna rzeczywistych wrażeń, gdzie działają i grają ciérpienia dyrektora, nadzieje aktorów, życie całéj truppy, drama, któréj rozwiązanie stanowić będzie dochód wieczorny.

Patrzcie na tęn piękny afisz, jakie pyszności zapowiada! jaka wspaniałość kolorów! co za przepych typografii! jakie bogactwo obrazów, a nadewszystko, jaka napuszoność stylu!

Jeżeli który z najmierniejszych aktorów Paryża uczyni wycieczkę, wnet afisze prowincyonalne z wielkim hałasem zapowiadają przedstawienia pana ***, piérwszego artysty teatru *** w Paryżu.

W ostatnich czasach w Marsylii dwóch artystów z *Comédie française* kazało się zaanonsować na afiszu: „Piérwsi rzeczywiści artyści Kró a," i przedstawili sztuki teatru *Gymnase* i *Vaudeville:* „Matka chrzestna" i „Przyjaciel Grandet."

Jeżeli zdołano wystawić nową sztukę, natychmiast afisz zdobi się pochwałami, przedłuża tytuł, i opowiada powodzenie które to dzieło zyskało w Paryżu. I tak jeden afisz prowincyonalny w ten sposób zapówiédział sztuczkę: *Suknia nie czyni mnicha.*

„SUKNIA NIE CZYNI PANA,
czyli
WILKI W OWCZARNI.

Komedyo-opera w 3 aktach, przez PP. Scribe i Melesville."
(Na prowincyi wszystkie wodwile są przez PP. Scribe i Melesville.)
„Grywana w Paryżu, w Wielkim Królewskim teatrze Vaudeville.
Ta sztuka pozyskała w stolicy tak znakomite przyjęcie, że nieprzerwanie 300 razy była przedstawianą; że rodzina Królewska raczyła ją zaszczycić swoją obecnością siedmnaście razy w przeciągu sześciu tygodni, że jednego razu po spuszczeniu kortyny, parter jednogłośnie zawołał fora, *i panowie socyeterowie Królewskiego teatru* Vaudeville, *ujrzeli się w potrzebie rozpoczęcia sztuki na nowo.*

Niedawno dopiéro teatr pewnego miasta, którego nie wymieniamy, przez grzeczność kazał obwieścić na wszystkich swych murach: dla reprezentacyi pana E. Taygny.

„PIERWSZA MIŁOŚĆ,
czyli
UCZEŃ SZKOŁY POLITECHNICZNEJ.

Téj szkoły która tak świétnie się odznaczyła, i któréj młodzieńcy tak dzielnie przypominają Rycerza bez trwogi i nagany."

Jedną z spekulacyi dyrektora prowin yonalnego, który wié dobrze, iż a sz jest sztuką, jest zmiéniać zupełnie tytuł jakiéj zbyt znanéj sztuki, aby tym sposobem ludzi sprowadzać. I tak w miejscu *Zairy*, jeden afisz ogłaszał:

„CÓRKA KRZYŻAKA,
czyli
SUŁTAN ZBRODNIARZEM PRZEZ ZBYTEK ZAZDROŚCI."

Powiédzmy wszystko! publiczność niepoznała już dzieła Woltera, zniekształconego przez aktorów, jak niepoznała jego tytułu, zmienionego przez afisz.

Innym podstępem zwodniczego afisza jest: pisać charakterami mikroskopicznemi doniesienia, które mogłyby się niepodobać. I tak powszechnie wiadomą jest historya owego afisza, który zapowiédział *Damę białą przez P. Boyeldieu*, a w kąciku ukrył następujący dodatek, ledwo dojrzanemi literami drukowany:

„Ponieważ muzyka osłabia interes, przeto zastąpioną będzie przez żywy dyalog.”

Oto rys tegoż rodzaju i mniéj znajomy: mieszkańcy małego miasta Caudebec, z największą rozkoszą przeczytali jednego dnia, na pięknym afiszu:

M A R T I N,

którego sława muzykalna nie potrzebuje komentarzów, grać będzie tego wieczora w i t. d.

W wieczór sala była przepełnioną, a uradowany dyrektor zacierał ręce, obliczając dochód. Co do publiczności, nadaremnie oczekiwała artysty, którego imię ją przynęciło. Ci dobrzy mieszkańcy miasta Caudebec nie byli dostrzegli nad olbrzymiemi literami: MARTIN, tych trzech drobniuteniecz kich słówek: *pan ***, uczeń pana....*

Na prowincyi, cała sztuka dyrektora teatru zależy na dobrém redagowaniu afiszów. Trudna to zaiste sztuka! bo trzeba umiéć utrzymywać w zajęciu publiczność zawsze znudzoną i zawsze nieukontentowaną, jeśli się niechce narażać na niebezpieczeństwo, że widzami będą tylko sami officerowie miejscowego garnizonu.

Aby dojść do tego celu, nieszczęśliwy dyrektor, którego życie jest bezprzestanną walką przeciw skąpstwu lub obojętności parafian, nie ma innéj pomocy, jak afisz. Wiécie, że nic tak nie rozwija zdolności, jak walka i wprawa; nie dziwię się tedy, że afisze doszły do teraźniejszéj doskonałości.

ANEGDOTKI TEATRALNE.

W pewném mieście, grano tragedyę *Wenecya ocalona*, jeden z obecnych widzów z prawdziwą dobrodusznością zapytał się swego sąsiada: *Kiedyż ta Wenecya wyjdzie już na scenę*: otóż tacy są częstokroć sędziowie na których zdanie aktor bywa wystawionym.

Gdy pannie Clairon wyrzucał pewien jegomość dla czego z czwartym aktem zaniechano dalszego grania nowéj tragedyi ogólnie wysykanéj, rzekła: *Prawdziwie: chciałabym słyszeć pagwizdanego przez cztery akty, abym mogła widziéć jaką też miéć będziesz postawę w piątym!*
